

Marcin Pagowski

Zima mej duszy

Fabryka Słów, Lublin 2011

ISBN 978-83-7774-364-7



Cena ułudy (fragment)

— Wszystko to wina świń plugawych ze Służnik! — perorowała matrona w podwice, z której wystawał tylko długaśny nos, zasuszony niby niezebrane jesienią śliwki i o podobnej barwy cerze. — Zapamiętacie me słowa, kumotrzy, martwą ją najdziem, jeśli kiedykolwiek! Zabrali ją, kiedy się w las za daleko zapuściła! Zasadzili się, jako ci wilcy i upatrzyli dogodny po temu moment. Nasyciwszy zaś diabelskie żądze, porzucili bez życia w jakowym wykrocie, jak czynili już wcześniej z innymi! Powiadam wam, że przekłete ich sioło, przekłete całe plemię! Złemu służy i kłaniają się w ciemności, ofiary z krwi dziewiczej składając!

— Przepadła! Nigdy nie ujrzę już mojej Żyborke! — lamentowała w tle korpulentna niewiasta podtrzymywana przez dwóch dryblasów.

— Tuście kumo się zagalopowali — rzekł spokojnie barczysty, wcale bogato odziany, siwy mąż. — Ciężko by rzec o Czëborze, by on dziewiczą... dziewczką... tfu! Wilcy pewnie Żyborkę rozszarpały jako i jego!

— O ile Czëbor po pijaku z grobli nie spadł i się nie utopił, kiedy przed żoną się krył — rzucił ktoś z tyłu.

— Bzdura! — wydarła się śliwonosa. — Oczu na prawdę nie chcecie otworzyć! Alboście może w znowie z nimi, wyznawcami złego? Że też od razu się na was nie poznałam! A po was przecie zrazu widać, żeście miłośnik strzygi!

Gniewny pomruk przeszedł po zebranych, niczym fala przyboju.

— Zawrzyjcie lepiej gębę, kumo, nim zbyt wiele powiecie!

— A co, nie mówiła zem?! He! Teraz oczy mi się otwarły i wybornie widzę po was, że jesteście wspólnik strzygoni! Pewnikiem i rodzinę w tej przekłetej wiosce macie, mości Dziwigorze, a? Braci strzygoni, szwagierki strzygi i małe strzygątka za bratanków i bratanice?

Ktoś zachichotał nerwowo, zaraz umilkł pod gniewnym spojrzeniem siwowłosego.

— Żebyście wiedzieli, kumo, że mam! I nic wam do tego! Wyście nie z Trzech Dębów to i gównieście! Za krótko tutaj mieszkacie, by się w miejscowych sprawach należycie wyznawać. Ba, żeby w ogóle się w nich wyznawać! Do tegoście baba, tegdy gębę zamknijcie nim wam kto resztę zębów porachuje i posłuchajcie, co rzeknę! A rzeknę, że Żyborke wilcy opadli!

— Moja córcia... córusiaaaaaaaaaaaaa! — znów załkała matka.

— Tego kościelnego poborcę także wilcy żeżarli może? — Śliwkowy nos zatrzęsł się pod podwiką, kiedy jego właścicielka groźnie wymachiwała uniesionym wysoko wskazującym palcem. — Powiadam wam, jeśli mieszka tu jaki chłop, co spodnie nosi miast głowę w łajno chować, to winien chwytać za widły i kłonicę i do Służnik się udać! Tam szukać! Zbrodniarzy ukarać! Krwi zwyrodniałcom upuścić! Zaraz, mówię wam, dobrzy ludzie, skończcie się owe tajemnicze zniknięcia! Zaraz owa tajemna wataha wilków, co to latem pod ludzkie sadyby podchodzi polować, zaraz ona, powiadam wam, zniknie! Wyjdzie prawda na jaw! Wyjdzie, żeście jako te bydło na paszę dla strzyg hodowali! Ale to, powiadam, skończyć się musi! Kto chłop niechaj za muszkiet chwyta, a dobrze go srebrem narychtuje! Pójdziem do Służnik i zaraz się przekonacie, dobrzy ludzie, kto rację ma. A może i Żyborkę najdziem. Kto wie? Może i dycha jeszcze? — potrząsnęła groźnie sierpem, który nie wiedzieć skąd pojawił się w jej drugiej dłoni. — Niech no ktoś kopnie się po wielebnego, coby nas modlitwą wspierał i ruszajmy bez zwłoki!

Tłum zafalował. Tu i ówdzie wzniosły się cepy i grabie.

— Na Służniki! — ryknęło kilka głosów ochoczo.

— Zaraz, hola! — ponad zgromadzenie wzniosł się kolejny głos, należący do schludnie i bogato odzianego mężczyzny w aksamitnym surducie ze złotymi petlicami i, wcale nie tremandzką modą, w peruce. Widać nawet na kraniec świata docierały nowinki. — Czyście się wszyscy szaleju najedli? Nie dość, że za górami myślą, żeśmy dzikusy, niestworzone historyje opowiadają o naszej osadzie, to jeszcze my sami w bajędy mamy wierzyć? Ba, nie tylko wierzyć, ale na ich podstawie zbrodni się

dopuszczać? Dyć wiadnym jest dla nas wszystkich, że choć w Służnikach kmiecie dziwacznymi są nieco, przecie oni ludziska jako i my wszyscy, tyle, że Morungijczyki. A kto inaczej twierdzi głupcem jest jeno. Stawy nam przeszukać, las, a nie jak zbóje sąsiadów napadać...!

— Wy się, panie wójcie, nie wtrącajcie lepiej, bo znów jak za waszymi radami będziem czynić, to z tego tylko bieda wyjdzie. Pomnijcie tylko, to przez wasze listy inkwizycja ma tu przybyć. Węszyc będzie, spektakle czynić! Niczego takiego nam tu nie trzeba!

— Mus mi je było napisać, nie myśleć! Dla waszego dobra to wszystko czynię!

— Tak tedy dla naszego, a przede wszystkim swojego dobra, zejdźcie z drogi, wójcie, i nie przeszkadzajcie, skoro pomagać nie chcecie. Dalej, chłopcy, kto tam co ma w garść brać! Czas nam do Służnik! Na pohybel z nimi, kurwimi synami! Nie będą nas żreć ni porywać nigdy więcej! Jak się im chałupy spali, zaraz zło przepadnie, do cna wyżarzone! Ogień oczyści ziemię z plugastwa!

— Na Służniki! — znów poniosło się chórem.

— Stójcie! — wójt ryknął niczym buhaj, stanął na drodze z szeroko otwartymi ramionami, jakby chciał zagarnąć i zatrzymać rozsierzdzoną tłuszcę. — Toć nawet jeśli wam się uda ze Służnikami sprawić, to co wtedy? Przecie pani Recz hajduków swych w odwecie do Trzech Dębów przysśle! Kamień na kamieniu ze wsi nie ostanie!

— Ot i dobrze wreszcie prawicie, wójcie. Pierwej wiedźmą trza by się zająć — przez zgromadzenie przeszedł ponury pomruk, tym razem bez poprzedniego entuzjazmu. — Ale nie lękajcie się, ludziska. Nic to dla nas żoldacy czarownicy. Jedyne co potrafią, to groźne miny stroić, chlać i dziewczki obłapiać. Ale kres na nich przyszedł! Jak się w kupę weźmiem, niegroźni nam oni. Kaźden jeden zmieknie jak raz cepem przez łeb weźmie. A co dopiero jak tych razów wiele będzie? Nas jest dużo, ich niewielu. Czas nam im pokazać, gdzie raki zimują! Dość już pany nas ciemiężo! W kupie siła! Na kasztel!

Wystrzał z półhaka odbił się hukiem od domostw, powrócił zwielokrotniony echem. Zaśmierdziało iście jak w opowieściach o demonicznych objawieniach. Na zgromadzonych jakby wylano kubel lodowatej wody. Rozochoceni, napompowani wściekłością chłopkowie odwrócili się wytrzeszczając oczy, nie dowierzając zarówno im, jak i uszom. A potem na widok możnego pana czapki i kapelusze powędrowały ku ziemi, karki zgięły się w pokłonie.

— W kupie smród takż — rzekł Hedaard spokojnie i chowając dymiącą jeszcze broń do olstra, sięgnął po drugi samopał. Po czym, bez specjalnej ostentacji, baczając jednak, by wszyscy to zauważyli, oparł lufę w zagięciu lewego ramienia. — Na waszym miejscu przeszukałbym lasy. Jeśli zaś będziecie mieć jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, czy to duchowe, czy też inne, radzę przyjść do mnie po poradę.

Zaszemrało cicho, kilku kmieci z tyłów chyłkiem umknęło między chaty. Śliwonosa wciąż zgięta w pół podniosła wzrok. Wątpliwe, czy widziała cokolwiek spod opadającej na oczy podwinki.

— Kogóż witać przysłało w naszej skromnej wsi, wasza wielmożność?

— Nic kapłan wam nie rzekł? — zapytał gość, powodując koniem, by lepiej przyjrzeć się widomej prowadyrce całego zajścia, omal najeżdżając na najbliższych wieśniaków. — Więcej porządków trzeba tu będzie zaprowadzić, jak widzę. Jestem Hedaard, przedstawiciel Świętego Oficjum na diecezję ostrogską, nadto rewizor w służbie biskupa Przedśława.

Kmiecie ponownie zamietli ziemię czapkami i kapeluszeniami.

— No, dobrzy ludzie, zbierać się trzeba. W las wam pora, zaginionej szukać. Taka tragedia — załamał ręce nieszczerze. — Do świątyni, widzi mi się, i tak sam trafie. Z Jedynym, drodzy włościanie. Owocnych poszukiwań życzę.